

TATERNIK.

Rok VI. Lwów, 15 października 1912. Nr. 4.

JÓZEF GRABOWSKI.

Z ZIMOWYCH WĘDRÓWEK.

Wielka Kopa Koprowa.

Deszcz wydzwaniał w rynnach i na dachach monotonną melodyę niepogody i wiatr chwiał wątłymi płomieniami lamp na ulicach Zakopanego, gdyśmy w sześciu*) z nartami na plecach podążali rozmiękłą szosą do Kuźnic. Noc była jeszcze zupełna — ale nie ta jasna, wyiskrzona gwiazdami, wysrebrzona śniegiem i mrozem, zimowa noc tatrzańska — lecz jakby przez kaprys natury do Tatr przeniesiona, rozpłakana deszczem i wichrem, ciemna noc z nadwiślańskich nizin.

To też nie wesołe mieliśmy miny i z głębokim sceptycyzmem zapatrywaliśmy się na powodzenie naszej dzisiejszej wyprawy. Jednak już za pomnikiem Chałubińskiego opuściliśmy panowanie błota i weszli na twardą skorupę zlodowaciałego śniegu. Wkrótce i na niebie zmieniła się scenerya. Wiatr poszarpał i porozganiał chmury, a w Kuźnicach zima która z Zakopanego uciekła do wnętrza Tatr, przywitała nas mrozem i pogodą. Góry, okryte nieskazitelnie białym śnieżnym płaszczem, zajaśniały przed nami w świetle księżyca jak cudna, srebrna zjawa.

Otucha wstąpiła w nas znowu; radosne przekonanie, że nie na próżno wyjechaliśmy z Krakowa, że Tatry, które nas tak niegościnnie z po-

---

*) Podpisany wraz z wycieczką Sekcyi Narciarskiej krakowskiego Akademickiego Związku Sportowego. Pierwsze wejście zimowe na Cichy Wierch i Wielką Kopę Koprową 3 marca 1912.

czątku przywitały, przyjmą nas jednak słońcem i pogodą, nie pozwoliło nam się długo zatrzymywać; wkrótce więc szliśmy przez ciemny i milczący las na Kalatówkach, by przed wschodem słońca dojść przynajmniej do kotła pod Goryczkową Przełęczą. Śnieg chrzęściał raźno pod naszemi stopami, lecz już za wywierzyskiem, gdy trzeba było zejść z utartej drogi, cieńka powłoka szreni zaczęła się załamywać i musieliśmy przypiąć narty.

Las na Goryczkowej Hali szumiał cicho i poważnie, jakby na pożegnanie odchodzącej nocy i srebrne światło na szczytach zaczynało coraz bardziej nabierać złotych i różowych tonów, gdyśmy dochodzili do ostatnich szałasów. Za nami nad spowitą w szare mgły równiną nowotarską rozciągało się jeszcze niepodzielnie panowanie nocy. Lecz nad szerokim grzbietem Kosistej niebo poczęło nasiąkać jakąś przejrzystą jasnością, w której coraz wyraźniej rysowały się śnieżne linie szczytów; śnieg począł przybierać coraz bardziej liliową barwę i cienie stawały się coraz ostrzejsze; wreszcie grzbiet Kosistej zajaśniał pod pierwszymi promieniami słońca długą, złotą wstęgą i nastąpiło ostatnie, śmiertelne zmaganie się ustępującej nocy z nadchodzącym zwycięsko dniem. Szczyty przywdziewały jeden po drugim złote hełmy i biała, kredowa jasność dnia spychała coraz niżej ku dolinom srebrne pola księżycowej poświaty. Nakoniec i księżyc sam, który dotąd dumnie stał nad Giewontem, uznawszy widocznie bezowocność dalszej walki, pobladł i skrył się za skały. Na górach zajaśniał pogodny, mroźny dzień.

Weszliśmy do szałasu, by pokrzepić siły przed długą wędrówką i złożyć walną naradę. Z powodu deszczu w Zakopanem obawialiśmy się lawin, które przy atmosferze powyżej zera i dużem ośnieżeniu gór z wielkiem prawdopodobieństwem można było spotkać na stromych, południowych stokach Goryczkowej. Zwłaszcza dwa u góry wązkie, a u dołu coraz szersze żleby, opadające wprost z pod przełęczy, stanowiły przy sprzyjających warunkach znakomitą dla lawin drogę. Dlatego miałem zamiar iść aż na Kasprowy Wierch i stamtąd poprowadzić zjazd do Cichej znaną mi, bezpieczną grzędą. Ale wobec tego, że śnieg pokryty był grubą i jak się wkrótce mieliśmy przekonać aż zatwardą warstwą szreni, o lawinach przynajmniej do 11-ej godziny mowy być nie mogło.

Postanowiliśmy więc dla oszczędzenia na czasie zjeżdżać wprost z przełęczy, choć zjazd z powodu stromości terenu nie zapowiadał się łatwo i przyjemnie. Ale nie szliśmy przecież w góry tylko dla zjazdu. Gdyby nam na nim jedynie zależało, spalibyśmy teraz w Zakopanem snem sprawiedliwych narciarskich filistrów, a rano po dobrem śniadaniu ruszyli po raz dziesiąty w życiu na sakramentalny Kasprowy lub Goryczkową, by delektować się „szusami" i „telemarkami" a prawdziwe, warowne mrozem i pustką i dla narciarskich filistrów niegościnne Tatry oglądać tylko zdaleka, jak lis niedojrzałe winogrona.

Gdyśmy wyszli z szałasu, jasno już było zupełnie. Złote promienie słońca ślizgały się po szklistej powierzchni szreni, znacząc niebieskimi cieniami stare ślady narciarskie i niosąc z sobą dzień ciepły, cichy i pogodny.

Ruszyliśmy szybko naprzód. Ale szreń zadrwiła sobie złośliwie z naszego pośpiechu. Narty ślizgały się wstecz i na boki i co kilkanaście kroków zjeżdżaliśmy w dół jazdą poprzeczną, by zatrzymawszy się czekanem na nowo rozpoczynać syzyfową pracę wychodzenia pod górę. Wreszcie, zmiarkowawszy, że upór na nic się nie przyda, odpięliśmy narty i wziąwszy je „na pieska" w kilkanaście minut doszliśmy do kotła pod przełęczą.

Tutaj kończyła się dziedzina szreni; krystaliczny, zwiany ze szczytów drobny pył śnieżny zalegał grubą warstwą dno kotła i podchodził prawie

pod samą przełęcz. Przypięliśmy więc narty napowrót i długimi zakosami zaczęliśmy się wznosić po zboczach Kasprowego. Wreszcie koło wpół do ósmej stanęliśmy na grani.

Widok z Przełęczy Goryczkowej, znany mi dobrze z poprzednich wycieczek, tym razem był dla mnie szczególnie interesujący. Oto wprost nas wznosiło się wspaniałe gniazdo górskie Wielkiej Kopy Koprowej, cel naszej dzisiejszej wyprawy. Szereg spiętrzonych nad sobą śnieżnych kopuł zdawał się róść w oczach i rozciągać coraz szerzej i dalej, zdawał się tworzyć jakby jakieś osobne państwo górskie, dumne z swej niepokalanej bieli, nie dotkniętej jeszcze stopą narciarza ni turysty. Oddzielała je od nas ciemna głębia Cichej Doliny, broniły podcięte, prawie prostopadłe zbocza i strome, grożące lawinami żleby. O wychodzeniu z tej strony przy tak wielkiem ośnieżeniu gór nie można było nawet marzyć. Pozostawała więc tylko droga granią od Zaworów. Ale trzeba się było spieszyć.

Przy rozpoczęciu zjazdu spotyka nas miła niespodzianka: nawis wogóle niezbyt wysoki, w jednem miejscu zanikał prawie zupełnie, tworząc jakby niską bramę, przez którą z łatwością osiągamy południowe zbocza przełęczy. Ujmuję silnie czekan i pochyliwszy się naprzód wyjeżdżam na strome pole szreni, które tuż pod nawisem połyskiwało swą gładką, wypolerowaną przez wichry powierzchnią; narty z suchym chrzęstem przecinają ukośnie najstromszą część lodowej płaszczyzny; kilka oderwanych od całości większych płyt szreni zesuwa się z zawrotną szybkością prosto w dół i uderzywszy o sterczące z pod śniegu skały, rozpryskuje się drobnymi kryształami. Wyjechawszy na pole nawianego śniegu zataczam łuk i wkrótce staję u wejścia do żlebu, którym mieliśmy zjeżdżać; ale zaraz z początku sterczą nad śniegiem ostre skałki a i dalej żleb zamknięty jest podobnymi przeszkodami. Zakręcam więc z powrotem na lewo i znowu ukosem przecinam pokrytą szrenią grzędę, by dostać się do drugiego żlebu. Ten okazał się szerszym i mniej stromym, a przedewszystkiem wolnym od skał i kamieni, obieram go więc jako drogę do wnętrza doliny.

Za chwilę stoją koło mnie moi towarzysze i rozpoczynamy na nowo zjazd, dość męczący, bo polegający na nieskończonej ilości łuków, które w wąskiej gardzieli żlebu i na twardej szreni wykonujemy norweską „christianią", nie używając wcale alpejskich oporów, w tych warunkach na nic nie przydatnych. Nareszcie wyjeżdżamy na szeroką płaszczyznę i po krótkim postoju, gdy połączył się z nami ostatni z towarzyszy, zatrzymany pod przełęczą niefortunnem odpięciem się narty w najstromszem i najtwardszą szrenią pokrytem miejscu — ruszamy w drogę ku Zaworom.

Przeszedłszy szybko las, pełen żywicznej woni wydostajemy się na szerokie pola śnieżne w górnych częściach Cichej Doliny i korzystając z tego, że szreń, rozmiękła pod coraz cieplejszymi promieniami słońca, ugina się dość głęboko pod nartami, posuwamy się wprost do góry. — Słońce przygrzewa coraz mocniej i śnieg poczyna się lepić, skupiamy więc całą uwagę na to, by narty jak najmniej podnosić i w ten sposób ułatwić sobie posuwanie się naprzód. Od czasu do czasu spoglądamy ciekawie na prawo, na wznoszące się stromo nad nami zbocza Wielkiej Kopy Koprowej — nigdzie jednak nie znajdujemy dogodnego przejścia, któreby nam oszczędziło dwukrotnego przechodzenia długiej grani od Zaworów. A grań, w miarę jak się do niej zbliżamy, wydaje się coraz dłuższa, wyrastają w niej jakieś wierchy, nienazwane wprawdzie, ale nieustępujące wielkością Pośredniemu Goryczkowemu lub Suchemu Kondrackiemu.

Zaczyna nas ogarniać zwątpienie. Dochodzi godzina jedenasta, a do Zaworów jeszcze daleko. Nagle w bocznej grani, odchodzącej od Wielkiej

Kopy Koprowej na północny wschód, dostrzegamy jakiś mniej stromy i niedaleko wierzchołka kończący się żleb. Przez chwilę mam zamiar tamtędy próbować szczęścia. — Ale żleb kończy się typowym lejem lawinowym i w tej chwili padają nań prostopadłe promienie słońca, na samej grani zaś, wznosi się fantastyczny grzebień nawisu, który nas ostatecznie odstrasza.

Ruszamy więc z rezygnacyą w dalszą drogę ku Zaworom. A śnieg lepi się coraz niemiłosierniej i co kilkanaście kroków przystawać musimy ze zmęczenia. Zwątpienie ogarnęło nas całkowicie: gorąco południa, ciężkie worki, ta biegnąca gdzieś w nieskończoność grań i zwłaszcza ten nieznośnie lepiący się śnieg odebrały nam wszelką nadzieję. — Idziemy już tylko z myślą o odpoczynku na przełęczy. Na Kopę Koprową spoglądamy ze złością i ze smutnem przekonaniem, że już po raz drugi oprze się nam zwycięsko. Wreszcie teren staje się coraz mniej pochyły i wychodzimy na szerokie siodło Zaworów. (D. n.)

Zagadnienie stosunku sportu do kultury.

III. *)

Steinitzer usiłuje ustalić definicyę sportu jako czynności dowolnych, wykonywanych w celu dobrowolnego współzawodnictwa, o ile motywami ich jest dążenie do osobistego odznaczenia i uznania. — Nie jest to więc sport w powszechnie używanem znaczeniu. Z jednej strony jest nowa definicya obszerniejsza, bo tradycyjna uznaje jako sport tylko te czynności, których cechą istotną jest wysiłek fizyczny (nie wyłącznie fizyczny, lecz »także i fizyczny«), z drugiej jest ciaśniejszą, bo uznaje tylko jeden motyw, podczas gdy tamta dopuszcza ich kilka równorzędnie. Stawia nową definicyę bynajmniej nie z powodu ustalenia przedmiotowo od uznanej odmiennej istoty sportu, lecz ze względów »ad hoc«, teoretycznych, dowolnie dla zaokrąglenia swego systemu. To też, co do uprawnienia jej metodycznego nasuwają się trzy pytania.

Czy analiza sportu musi posługiwać się definicyą genetyczną, jak n. p. encyklopedye cytowane przez Steinitzera, czy też nie? Steinitzer rozwiązał to pytanie przecząco, krytycy niektórzy poczytali mu to za błąd zasadniczy.

Badając stosunek sportu do kultury, która przecie cała, niebędąc przeszłością, tkwi w przeszłości i nie może być pragmatycznie ujęta bez analizy genetycznej — czego Steinitzer na odnośnem miejscu zaniechał i w czem źle zrobił — byłby był korzystnie postąpił, gdyby był zastosował i do określenia istoty sportu metodę genetyczną. Ale o ile rozumiem system Steinitzera, nie byłoby się przez to nic zmieniło w wywodach i wniosku prócz terminologii: po staremu wykazałby, że pewne motywy sportu (w znaczeniu genetycznem) polegają na dążeniu do osobistego wyróżnienia, i mają na wypadek, gdy psychicznem ich podłożem są popędy nizkie, egoistyczne i małostkowo osobiste, rozkładczy wpływ na kulturę, po staremu ustaliłby dalej, że takie dążności, o ile ujawniły się już w historyi, były zgubne dla danych jednostek zbiorowych, że zaś współcześnie objawia się dążenie do stosowania takich sprawdzianów przy wykonywaniu wszelkich innych czynności leżących po za obrębem sportu, fakt ten socyologiczny zawiera zarody rozkładu kulturalnego. Po staremu wnioskowałby więc na tej podstawie, że pewien, tak przez niego określony sposób wykonywania sportu działa ujemnie na kulturę. Takie ujęcie treści studyum Stei-

*) p. Taternik 1912, zesz. III.

nitzera podpisaliby bez wahania krytycy jego i on sam, zastrzegając się tylko przeciw niestosowaniu jego terminologii. Gdy więc i w genetycznem przedstawieniu merytoryczna strona jego wywodów ocalała, a różnice terminologiczne nie mają wpływu na istotę argumentacyi, a zwłaszcza na istotę faktów analizowanych, przeto nie może mu być poczytane za błąd, jak to uczynili B. i W., że nie posługiwał się metodą genetyczną.

Są też i liczne przykłady w dziejach nauki, że dany wytwór życia ludzkiego, nie musi być badany tylko genetyczną metodą; można go badać wyłącznie systematycznie w kierunku tylko tych cech, które posiada w danym punkcie czasu i przestrzeni, nie dbając o ich genezę i wykrycie związków zwanych przyczynowymi. Obie metody mogą być stosowane naprzemian do jednego przedmiotu, analizując dwie różne jego strony, z dwu różnych punktów wyjścia. Tak postępuje n. p. logika syllogistyczna, a logika psychologiczna, etyka normatywna, lub kryteryologiczna, a etyka genetyczna, gramatyka systematyczna, a historyczna, prawoznawstwo systematyczne a historyczne i t. d.

Tak więc powody natury teoretycznej nie zmuszają wcale Steinitzera, by do analizy sportu koniecznie stosował metodę genetyczną.

Czy można fakt jaki (w najobszerniejszem znaczeniu) ująć jako metodę, zamiast jako treść odnośnego procesu? Steinitzer bowiem uwzględnia sport, jako określoną metodę wykonania czynności, podczas gdy tradycyjna definicya twierdzi, że sportem są właśnie owe czynności.

Mamy więc dwie metody przed sobą, które chcą ustalić definicyę sportu. Na ogół biorąc dozwoloną niekiedy jest rzeczą posługiwać się dowolnemi metodami. W matematyce n. p. można jakieś twierdzenie udowodnić dowolną metodą, zdarza się nawet, że dla znanego zagadnienia znajdują teraz nowe metody rozwiązania; wogóle metoda nowa wówczas jest trafną, gdy stosowana do przedmiotowo sprawdzonego zagadnienia, da takie same merytoryczne wyniki. Ten zaś wypadek zachodzi tutaj, jak wykazałem przed kilkudziesięciu wierszami. Ze stosowania nowej metody przez Steinitzera wynikły tylko owe różnice terminologiczne, a przeciw temu nie można podnieść zasadniczego, teoretycznego zarzutu, o praktycznych zaś dalej.

Analogicznie do jednostkowego wypadku Steinitzera ujmuje Descartes (*Regulae ad directionem ingenii. Ed. Buchenau, Leipzig 1907. Reg. IV.*) wiedzę w najogólniejszem znaczeniu, *mathesis universalis*, nie jako sumę w należytym związku uporządkowanych wiadomości i t. d. i t. p. (definicya tradycyjna), lecz jako metodę, którą należy stosować przy nabywaniu wiadomości i badaniu naukowem. Teoretycznie należy więc uznać za uprawniony fakt, że Steinitzer ujął sport jako metodę, a nie jako podkład zjawiska. — Ale praktycznie nie okazało się to korzystnem. Steinitzera odrębny sposób badania sportu pociągnął za sobą szereg niedogodności, a że dochodzi do merytorycznie tych samych rezultatów co inni, powinien był tej, teoretycznie uprawnionej metody z praktycznych względów poniechać. Konsekwencye zapatrywania się na sport jako na metodę wykonania czynności, mającej pewny tylko, ściśle określony charakter, ujemnie oddziaływujący na kulturę, doprowadziły go do jednostronności: do odrębnego badania pewnej tylko formy (sport w jego znaczeniu) jednej i tej samej czynności od kilku innych form (»Erholungstätigkeiten« zwanemi przez niego, sportem powszechnie). Nie jest zaś naturalne, dozwolone może nawet badać w ten sposób wpływ sportu, w obszerniejszem, tradycyjnem znaczeniu, na kulturę, bo różnice oddziaływania pierwszego na drugą leżą nierozdzielnie w zakresie jednej i tej samej kategoryi faktów życiowych: w obrębie etycznej i społecznej oceny zjawisk, różnią się tylko miejscem zajętem na skali wartościowania dodatnie — ujemne, a jest kwestyą nierozstrzygniętą, czy są to różnice biegunowo rozdzielone, czy też przechodzą stopniowo jedna w drugą, tak że nie możnaby a priori ściśle pociągnąć granic między sportem, który działa jeszcze

dodatnio na kulturę, a inną jego formą, która działa już ujemnie. Nie mówiąc już zgoła o tem, że nie można badać osobno tych dwu form. W końcu, lecz nie na ostatku, należy nie zapomnieć, że tylko dzięki ujęciu sportu, jako metody, powstały różnice terminologiczne, a na tem tle daleko idące nieporozumienia w polemice, o których była często mowa wyżej.

Ujęcie przez Steinitzera sportu jako metody, choć teoretycznie uprawnione, nie przyczyniło się do wszechstronnego opracowania materyału, utrudniło jasne i łatwe zrozumienie zagadnień badanych, a wzamian nie przyniosło żadnych zdobyczy merytorycznych.

Czy jednak wogóle musiał Steinitzer stawiać nową definicyę, dowolnie skonstruowaną, odmienną od ustalonej?

Tym razem odpowiedź jest stanowczo przecząca. Analogicznie do zasady *entia non sunt multiplicanda,* należy uważać postawienie zbytecznej definicyi za błąd metodyczny.

A taką właśnie jest definicya Steinitzera: 1) bo merytorycznie dochodzi nią do tego samego rezultatu, do którego doszedłby był i bez niej; 2) bo nie od niej bezpośrednio zależy końcowy wniosek, jeno od filozoficznej i etycznej oceny motywów, co na tem okazało się, że n. p. B. i L. przyjmując ją, a inaczej tylko wartościując motywy sportu, doszli do odmiennego wniosku niż Steinitzer; 3) jest nawet szkodliwą, bo jak podniosłem, wprowadza bez istotnego powodu nowe, odmienne znaczenie, powszechnie inaczej używanego terminu. Nie zaprzeczam wcale jej wartości, ale dla innych pobocznych względów, nie mających nic wspólnego z konkluzyą, a o nią przedewszystkiem chodziło autorowi i krytykom. Ma po pierwsze wielkie praktyczne znaczenie dla autora przy warstacie, bo choć potrzeba jej nie tkwi w istocie zjawiska badanego, mimo to ułatwia pewne zeschematyzowanie i uproszczenie przy dowodzeniu. Ale to nieoficyalne ułatwienie i umniejszenie pracy autorowi, nie zmuszało go bynajmniej do stawiania zbytecznej skądinąd definicyi. Można, po drugie, przysądzić jej inne, bardziej pozytywne znaczenie; jest bowiem pierwszą systematyczną definicyą sportu; ten wzgląd jednak, teoretycznie ważny — nie rozstrzyga o uprawnieniu lub nie, postawienia jej, przez to, że nie jest celowo ułożona, nie wpływa bowiem na charakter konkluzyi. Mogłaby i powinnaby być gdzieindziej rozwinięta; tutaj, nieorganicznie zlepiona z całokształtem argumentacyi — nie ma wagi.

Tak więc Steinitzer nie musiał koniecznie badać sportu genetyczną metodą, jak niektórzy krytycy wymagali, a inni w myśl tego postępowali (B, W, O, T). Z drugiej strony jednak, niekorzystnie uczynił, stosując taką właśnie, a nie inną metodę, zacieśniło to bowiem jego pole badania, wogóle zaś, wcale nie musiał dać jakiejkolwiekbądź ogólnie obowiązującej definicyi.

Przyjąwszy nawet, że i te zasadnicze zastrzeżenia możnaby usunąć, choć nie widzę takiego wyjścia, to przedewszystkiem wymagane jest, by autor sam trzymał się przez siebie ustalonej różnicy: w sporcie należy wartościować tylko metodę wykonania, nie zaś czynności wykonywane. Jak trafnie podniósł A nie można wartościować etycznie alpinizmu, czynności sportowej, oceniać można tylko metodę wykonania. To zaś jest zupełnie zależne od psychiki wykonywujących. Tak więc ujemna ocena metody musi przejść w ujemną ocenę psychiki danego typu ludzi. Alpinizm sportowy dopiero przez to wpływa ujemnie na kulturę, że p e w n i l u d z i e zajmują się nim jako środkiem, a nie jako samoistnym celem.

Celem zaś tym jest przez współzawodnictwo z drugimi ludźmi osiągnąć wyróżnienie w zakresie danej czynności sportowej. Jeżeli więc Steinitzer mógł powiedzieć, że współzawodnictwo może być i ze zwierzętami i z przedmiotami martwymi, to nie odróżnił tutaj jego formy od treści. Tego rodzaju współzawodnictwo istnieje wtenczas tylko, gdy dane czynności sportowe są celem same dla

siebie. Takie zaś czynności nie są sportem w znaczeniu Steinitzera, bo też w tym wypadku wynikałoby z tego, że on sam ocenia nie metodę ich wykonania wyłącznie, lecz właśnie i owe czynności. Bo w ocenie sportu, jako metody (w ujęciu Steinitzera), idąc konsekwentniej od niego jego metodą, może być tylko mowa o współzawodnictwie ludzi ze sobą, co do pokonania zwierząt, gór i t. d., ponieważ tylko w stosunkach ludzkich możliwe jest, przez Steinitzera koniecznie wymagane przejście, woli walki, w spór o osobiste, małostkowe cele, w zawiść i t. p. objawy, na których ujemnem wartościowaniu oparta jest ujemna wartość sportu dla kultury. Również do takiego pomieszania oceny metody wykonywania i czynności wykonywanej, które wkradło się wbrew intencyi autora, zaliczam ujęcie jako współzawodnictwa sportowego, walki poszczególnych władz psychiki ludzkiej z sobą. Bo wtenczas nie tylko że ginie, jak trafnie wykazał T. społeczny charakter sportu, ale także motywy sportu zostając w obrębie jednej jednostki, nie będą mogły być ujemnie ocenione, a co za tem idzie, nie sport jako metoda wykonania czynności byłby tu oceniany, lecz tylko jako sama czynność wykonywana. Tego jednak chciał Steinitzer uniknąć przez postawienie takiej, a nie innej definicyi. I tu idąc w myśl metody jego, należałoby tę rzecz w tym kierunku sprostować, że walczymy wprawdzie z sobą samym, ale celem walki nie jest radość ze zwycięstwa dodatnich czynników każdoczesnej treści psychicznej w jednostce, lecz, że zwycięstwo to jest tylko środkiem do odznaczenia się na niekorzyść innych zawodników, poza psychiką jednostki stojących.

Stosując zaś w końcu wyniki ogólnych badań nad sportem do alpinizmu, Steinitzer twierdzi, że ponieważ już w istocie alpinizmu tkwi walka, przeto alpinizm, o ile pójdzie za tendencyą stosowania do siebie sprawdzianów sportowych, najrychlej skazany jest na rozkład schyłkowy. Pomieszanie oceny formy z oceną treści, oceny metody z oceną czynności, jest tu może najbardziej rażące. Tak więc ujęcie sportu jako metody, teoretycznie uprawnione, ujęcie nie korzystne zresztą i nie mogące być ogólnie obowiązujące, nie zostało, co gorsza przez samego autora konsekwentnie stosowane.

W pierwszej części swych wywodów, usiłował Steinitzer ustalić definicyę sportu. Celem zaś jego jest ocenić stosunek sportu do kultury. — Z kolei musi więc ustalić, co to jest kultura. Z analizy metody jego w tym rozdziale, wynikają poważne wątpliwości.

Najogólniejszy schemat metody Steinitzera wygląda następująco: ustaliwszy definicyę sportu *per genus proximum et differentiam specificam*, zamierza ustalić istotne cechy kultury drogą indukcyi wyczerpującej, by doszedłszy w ten sposób do powyższych dwu przesłanek i stwierdziwszy, że wykluczają się, mógł nadać wnioskowi charakter sądu ogólnego i pewnego. Zbadać należy więc przedewszystkiem, czy można uważać metodę jego w obrębie ustalenia pojęcia kultury za indukcyę wyczerpującą.

Do tego wymagane być musi nasamprzód określenie, co to jest kultura. Otóż tego zaniechał. A jest to błąd zasadniczy mający znamienny wpływ na formalno-logiczny charakter konkluzyi, a co za tem idzie na jej doniosłość i konsekwencye praktyczne. Odróżnił następnie kulturę społeczną od indywidualistycznej i dla tych dwu rodzajów jej, podał dwa ideały, by módz ustalić stosunek kultury do sportu. Konkludując twierdzi, że ideałem społecznym jest równość, indywidualistycznym jednostka genjalna — i temi sądami uzyskanymi, jak twierdzi, drogą indukcyi wyczerpującej, operuje jak syllogizmami. Popełnia przez to zasadniczy błąd metodyczny. Pojęcia takie, jak kultura indywidualna i społeczna, życie, genjusz i t. p., uzyskane mogą być dotąd i przez niego też tylko, drogą indukcyi niewyczerpującej. Nie mają więc wartości sądów pewnych, a po wtóre przez to, że ich prawdziwość da się dowieść tylko w poszczególnych konkretnych wypadkach, a nie a priori dla wszelkich możliwych wypadków, jak o tem właśnie przekonała polemika budująca odnośne pojęcia zupełnie od-

miennie (L, B, W), jak dalej wskazuje na to stanowisko Burckhardta, który przedstawiwszy kulturę Greków nie wysnuwał na tej podstawie sądów syntetycznych o charakterze syllogistycznym — przez to więc pojęcia owe nie mają w dowodzeniu wartości sądów ogólnych, lecz tylko szczegółowych. Jeżeli uda się wykazać, że w jednym konkretnym wypadku, przez to, że oparte są na całokształcie znanego materyału faktycznego mogą być ogólne, to nigdy nie da się dowieść abstrakcyjnie, że nie mogą być i szczegółowe tylko. Pojęcia z tej kategoryi, do której właśnie należy pojęcie kultury, genjuszu, charakteru rasy i t. d. nie są uzyskane drogą wnioskowania syllogistycznego lub indukcyi wyczerpującej, lecz drogą indukcyi niewyczerpującej, uzupełnianej wnioskowaniem pozalogicznem, subjektywnem, kierującem się w wyborze przesłanek temperamentem, uczuciem, skłonnościami pamięci i wyobraźni. Sądy ustalone taką drogą i przez Steinitzera, nie mogą być ni ogólne, ni prawdziwe, dlatego też mógł L. zupełnie inaczej przedstawić ideał społeczny, a B. inną indukcyą wyprowadzić ideał indywidualistyczny, dlatego dalej, tak skutecznie, choć również nie rozstrzygająco, mogły być zwalczane tezy: chorobliwość postępu kultury aryjskiej, określenie genjuszu, charakteru ras i t. p. I z całej tej dyskusyi ni Steinitzer nie wyszedł na sucho, ni krytykom nie udało się osiągnąć przedmiotowości, jak zresztą w każdej innej krytyce pojęć opierających się na temperamencie, uczuciu i fantazyi, a nie na rozumie.

Z tych zatem względów formalno logicznych zmieniony musi być charakter stosunku sportu do kultury. Końcowy przeto wniosek musi mieć odmienną doniosłość, niż zamierzał to Steinitzer. Nie będzie ni ogólny ni pewny.

Jeżeli więc z kolei zajmę się jego metodą ustalenia stosunku sportu do kultury, to i tu nasunie się poważna wątpliwość. Stosownie bowiem do poprzednich wywodów stwierdzających, że oceniać chce tylko metodę wykonania danych czynności, a więc tylko typy psychiki ludzi wykonujących, a w ten sposób w końcu dominujący charakter psychiki społecznej epoki, zdawaćby się mogło, jakoby Steinitzer był zdania, że z charakteru ogólnego współczesnej doby, odznaczającego się spotęgowaniem indywidualnych i egoistycznych pierwiastków, tak niedwuznacznie objawiającego się w coraz szerzej stosowanem bezwzględnem haśle walki o byt, wynika wzrost tendencyi sportowych, wynika coraz częstsze używanie sprawdzianów sportowych do czynności zwanych popularnie sportem, a przez Steinitzera określonych, jako *Erholungstätigkeiten*. — (Por. Stenitzer, op. cit. str. 31. w. 11. z doł. — str. 33. w. 61. z góry). Możnaby więc myśleć, że twierdzenie: jaka epoka, taki sport, jakie dążenia ludzi, takie cechy mają ich czynności, byłoby po myśli autora; tymczasem inne miejsca dają się niedwuznacznie tłumaczyć wprost przeciwnie. Brzmią one: 1) ze wzrostem tendencyi sportowych w pierwotnej dziedzinie sportu, w obrębie zabaw ruchowych, nastąpił ogólny rozrost tendencyi sportowych (str. 31. w. 17. z d. — str. 31. w. 12. z d.); 2) gdyby zawiść nie istniała, sport byłby w stanie ją wytworzyć (str. 33. w. 21. z d. — str. 33. w. 19. z d.); 3) związek między wzmożeniem sportu (w Steinitzera znaczeniu), a wzmożeniem ogólnej tendencyi egoistycznej, jest oczywisty (*allg. Tendenz der Ich-Betonung*) (str. 33. w. 11. z d. — str. 33. w. 6. z d.) Wynika więc jasno, z tych trzech miejsc, że Steinitzer uważa za możliwe wywołanie przez sport stanu schyłkowego kultury.

Jest tu oczywiste odwrócenie związku przyczynowego. Zdaje się, że rzecz ma się przeciwnie: nie sport warunkuje charakter epoki, lecz dążności epoki warunkują charakter sportu, przez to, że motywy jego idą w myśl jej przekonań i wysiłków. Sport może conajwyżej przyczynić się do dalszego upadku epoki przez to, że przez zatrudnienie, odnośne dążności istniejące już w kulturalnej atmosferze epoki, ustalają się, rozpowszechniają, zyskują na żywotnej sile. Żadną miarą nie wydaje mi się trafne takie postawienie zagadnienia, by sport

znany od ledwie pół wieku, jak twierdzi sam Steinitzer, a rozpowszechniający się dopiero od 2 dziesiątków lat, zupełnie zaś na kontynencie bez znaczenia do końca pierwszej połowy XIX. w., mógł dokonać tak głębokiego przewrotu dążności europejskich, jak mu to Steinitzer przypisuje.

Powodów wskazanych należy raczej gdzieindziej szukać, na polu cywilizacyi, jak n. p.: przemiany ekonomiczne, maszyny, rozwój przemysłu i handlu i na polu kultury, jak n. p. rozpowszechnienie oświaty, oraz za niem idący wzrost uświadomienia godności własnej i wzrost wymogów materyalnych i duchowych, co do zaspokojenia potrzeb stąd wypływających. Rozpowszechnienie sportu jest w każdym razie objawem wtórnym tych przemian, a nie ich przyczyną, jak w owych cytatach twierdzi Steinitzer. Wtargnięcie sprawdzianów »sportowych« w obręb czynności sportowych (w znaczeniu popularnem), jest tylko ogarnięciem jeszcze jednej dziedziny życia przez znamienną tendencyę kultury współczesnej. Przeciwne postawienie kwestyi jest więc błędem metodycznym.

Konkluzya Steinitzera, której nadał charakter sądu ogólnego i pewnego, może tylko mieć, z powodu błędów metodycznych charakter prawdopodobny i szczegółowy; wyglądać będzie wówczas, oderwana od terminologii autora, mniejwięcej w następujący sposób:

S p o r t (w p o p u l a r n e m z n a c z e n i u) i k u l t u r a m o g ą b y ć c z a s e m p r z e c i w i e ń s t w a m i w y k l u c z a j ą c e m i s i ę. Stwierdzić należy, że poza to Steinitzer nie wyszedł, o ile sam nie popadał w sprzeczność ze swą metodą.

Na tak zaś sformułowany wniosek wszyscy polemiści zgodzili się w swych wywodach. Metoda Steinitzera jest więc błędną, pozornie i powierzchownie biorąc tylko, może imponować swą zwartością i trafnością, wiedzie go bowiem do jednostronności, świadomego zaniechania badania dodatnich objawów sportu, do odcinania nieuprawnionego jednej formy czynności pewnych zwanych powszechnie sportem od kilku innych; do uwzględnienia w analizie tylko tej jednej formy. Nie widać zaś przyczyny rzeczowej, dla czego odstąpiwszy od swego schematu metodycznego, nie mógł był przedstawić znaczenia dla kultury tamtych innych form sportu (w znaczeniu popularnem) — jak uczynił to n. p. A. — zwłaszcza, że Ameryki nie odkrył wcale, bo abstrahując od metody właśnie, na merytoryczne wyniki argumentacyi jego, wszyscy zgodzić się muszą. — O ile chodzi jednak o wartość studyum Steinitzera, to nie wynalezienie metody jest sprawdzianem wysiłku jego, który w takim razie nie mógłby być zbyt wysoko oceniony, lecz jest nim nagromadzenie faktów dowodzących szkodliwości momentu sportowego i okazujących wzmaganie się tych tendencyi we współczesnem życiu sportowem. Nie metodą, nieodpowiednią, niepotrzebną, nietrafną, niekonsekwentnie stosowaną, stoi studyum Steinitzera, jak niektórzy twierdzili, lecz owem solidnie uzasadnionem *quousque tandem!* — rzuconem pod adresem rekordomanii w sportach; i tu jest wielkie jego znaczenie, po większej części zachęcające tylko, do dalszych studyów i do usilnej pracy nad reformą sportu. A że zachęcanie to wywołuje czasem oburzenie na świadomą lub mimowolną przewrotność metody stosowanej przez Steinitzera, nic to, pogłębienie i zakres sprawy mogą jeszcze z tego skorzystać.

Tak też pojęli niektórzy krytycy swe zadanie, rozwijając działalność podjętą przez Steinitzera, usiłując ustalić ideał alpinizmu, któryby przeciwdziałał wzmagającym się w sporcie objawom schyłkowym (A, D, K, M). I w tem właśnie, a nie w jałowej najczęściej polemice teoretycznej kilku innych, leży suggestywna wartość studyum Steinitzera.

Jeden z krytyków, W, konstatuje, że polemika nie przyniosła żadnych pozytywnych wyników. Krytycy pisali swoje, a S_1, i S_2, utrzymywały, że mimo to przecie stanowisko Steinitzera da się obronić w linjach zasadniczych. I nic dziwnego. Z jednej bowiem strony zaślepiał niektórych krytyków, jak O, T, W,

nawet pewien fanatyzm sekciarski obronicieli fetyszów powszechnie czczonych, i nigdy logika dobrze kopnięta przez tendencyę nie machała bardziej wymyślnych koziołków, z drugiej większa część pozostałych krytyków nieumiała niestety rozróżnić formy badania od jego treści, nie poznali przeważnie, że są w zgodzie ze Steinitzerem — na ogół biorąc przynajmniej — co do merytorycznych zapatrywań na badane kwestye i że zachodzące różnice poglądów są najczęściej pozorami tylko, wywołanymi odmienną metodą i terminologią, to było fatalnem w skutkach nieporozumieniem. Napróżno zastrzegał się Steinitzer, napróżno poprzednie studyum jego »Zur Psychologie des Alpinismus« było im *memento*, że i on uznaje analizowane przez nich dodatnie objawy sportu (w popularnem znaczeniu) i ustala analogicznie do ich sposobu myślenia znaczenie ich dla kultury. Żaden z krytyków nie zdołał wyłuszczyć myśli przewodniej Steinitzera z obsłon metody i wskazać nie na różnice ze współczesnym stanem zapatrywań na tę kwestyę, lecz na rdzenne powinowactwo tej myśli z poglądami najszlachetniejszych i najbardziej o rzecz publiczną dbałych badaczy tych zjawisk społecznych.

Prawda, że i stanowisko autora nie będąc wolne od poważnych »ale«, podniecało zacietrzewienie jednych, a utrudniało zrozumienie drugim. I sam Steinitzer przyczynił się po części do tego, kładąc wagę swej pracy na stronie metodycznej. Pominę błędy poszczególne w definicyach, w argumentach historycznych i psychologicznych — dlatego, że bądź jako nie zasadnicze nie wpłyną na charakter konkluzyi, bądź osiągnęłyby tylko wykluczenie odnośnej tezy poza łańcuch argumentacyi, co przy jego metodzie, dowolnie ścieśniającej pole badania, zawsze byłoby możliwe, konkluzyi zaś zmienićby nie mogło. A mimo to jednak coś zostanie.

Jako takie jednak nie do pozostawienia kamienie obrazy, uważam ujmowanie w definicyę o pozorach syllogizmów i indukcyi wyczerpujących, pojęć nie mogących być z natury rzeczy tak ujętemi, dogmatyczny i apodyktyczny ton wywodów i rażąca jednostronność, jeżeli nie wyników merytorycznych, to w każdym razie metodycznej formy, w której zostały podane, co doprowadziło właśnie do szczególnego, a dowolnego i nieuprawnionego zacieśnienia pola badań. Są to poważne błędy studyum Steinitzera.

Nie można jednak twierdzić, by tak ono, jak i głosy krytyków nie przyniosły żadnego wyniku. Przyznać trzeba, że nie jest on taki, jakim go chciano mieć z obu stron; bo ani Steinitzer nie przekonał nikogo, kto niechciał być przekonany, że należy koniecznie co innego nazywać sportem, niż dotąd nazywano, ani krytycy, nawet ci, co nie wojowali wykrętami, lub nie byli zaślepieni tendencyą, nie odwiedli go od zajętego stanowiska.

Okazało się jednak dowodnie w polemice, czasem mimo woli krytyków, jak poczesne są zasługi Steinitzera.

Wprawdzie definicya jego, na którą, obok konkluzyi, kładł główny nacisk, nie została przeważnie uznana i widać, że nie przyjmie się. Zbyt jest dowolna, zbyt tkwi w osobistych, ad hoc potrzebach metodycznych autora, a nie w istocie danego zjawiska, w nowy sposób ujętej. Zanadto silnie wbrew powszechnemu używaniu rozdziela obie strony sportu (w popularnem znaczeniu) dodatnio i ujemnie działające na kulturę, przez co utrudnia przegląd zjawisk, z których choćby jeden rodzaj sportem, drugi »Erholungstätigkeiten« przez Steinitzera zwane, przecie i przez niego do jednej kategoryi zjawisk zaliczane są i nierozerwalnie badane być powinny z powodu obustronnych ścisłych związków. Oprócz tego, definicya ta idzie wbrew istocie sportu, bo zważyć należy, że za jedną przynajmniej z cech istotnych, takich jak sport zjawisk, należy uznać powszechną o nim opinię, a to dlatego, że tego rodzaju zjawiska urzeczywistniane bywają także, w myśl i o charakterze takim, jak to określa pogląd na nie wykonywującej jednostki.

Definicya jest więc nie do przyjęcia merytorycznie. W celach metodycznych stosowana nie doprowadzi do lepszych niż Steinitzera wyników. — Ale starannie i głęboko badał zgubność tendencyi sportowych, jak nizkie i szkodliwe cechy natury ludzkiej, przez uzewnętrznienie w sportowej działalności rozkładający wpływ na kulturę wywierają i jak uznawanie tego, jako ogólną wartość potęgującą dorobek kulturalny, jest objawem schyłkowym.

Po odrzuceniu tedy definicyi sportu, możnaby mojem zdaniem, niezależnie od metody ująć treść studyum Steinitzera — nie mówię, by on na to musiał się godzić — jako dowodzenie tezy, że pewne, etycznie małowartościowe lub wprost ujemne czynniki psychiczne natury ludzkiej, których siły żywotne w jednostkach, spotęgowane przez wytworzone współcześnie w życiu społecznem dążenia bezwzględne do zwycięstwa w walce o byt, wprowadziły w ruch zwany powszechnie sportowym, niektóre tendencye zmieniające, a raczej skrzywiające jego charakter — jak zawiść, — pyszałkostwo, — chęć wyróżnienia się i t. p., a to wszystko na tle egoistycznego zadowolenia, nie płodnego, bo wyładowującego się tylko w obrębie psychiki danego osobnika, bez wcielenia się odnośnych stanów psychicznych w jakiekolwiek uzewnętrznienie (czyn dodatni dla kultury, twórczość naukowa, artystyczna i t. d.),

Wynikałoby więc i tu, że Steinitzer nie jest znowu wcale takim nowatorem za jakiego podaje się, za jakiego uważali go krytycy jego i co mu wcale na korzyść nie wyszło, lecz że jest badaczem rzeczy znanych, na które niestety przed nim zbyt mało uwagi zwracano.

I polemika nie przebrzmiała bez celu. Owszem, dała pozytywne i znamienne wyniki. Odsłonięta została rekordomania sportowa w swych zgubnych dla kultury dążeniach, coraz bardziej od niejakiego czasu pogrążająca sport w sprostaczenie i nadająca mu najbardziej błahe i najmniej szlachetne cechy walki o miejsce w słońcu uznania; dzieje się to nawet w alpinizmie, tam więc, gdzie istota sportu wydaje się na pozór jak najbardziej oporna przeciw przyjęciu takich tendencyi.

Starają się więc krytycy, ustalając i uzasadniając ideały (chodzi im głównie o alpinizm), dążyć do reorganizacyi sportu, do odrodzenia moralnego odnośnych dążności. Osiągnięto w końcu przez analizę wszechstronną motywów sportu (głównie alpinizmu), wynik mało znany może: jak potrzeba jego zawarunkowana jest istotnemi cechami psychiki ludzkiej, i jak tkwi głęboko, a po części w jak bardzo szlachetnych tajniach duszy ludzkiej. A rozważanie i ustalenie takich wyników — choćby nawet w kilkunastu dopiero artykułach osiągnięte — jest zawsze pożądane i korzystne dla ogólnego dorobku kultury.

Inaczej jednak, niż okazują to wyniki pozytywne polemiki, zapatruję się na oczekiwane skutki reformy zjawisk zwanych sportowemi przez ustalenie ideałów sportu i praktyczną ich propagandę. I w alpinizmie, do którego odtąd wyłącznie się ograniczę, dążenie takie, choćby najbardziej owocne, nigdy nie wykorzeni istnienia »momentu sportowego« i nie zniweczy ujemnego działania jego na kulturę, może mieć tylko pedagogiczne zadanie: działania skutecznego w bardzo ciasnym zakresie.

A to dlatego, że sport (w znaczeniu Steinitzerowskiem) nie jest wykonywany zasadniczo biorąc przez wszystkich ludzi bez różnicy. Jest on raczej naturalnym i koniecznym wytworem pewnego typu psychiki ludzkiej, tego mianowicie, którego dyspozycyi psychicznych znamienną cechą jest rozstrzygająca obecność stanów psychicznych o charakterze identycznym z charakterem »momentu sportowego«. Inne typy zaś, jeżeli nawet podobnie działają, postępują tak tylko za wpływem otoczenia. Typ pierwszy, w każdej wykonanej czynności mogącej być ocenianą sprawdzianami wartości kulturalnej, działa ujemnie dla kultury, a więc i jego sposób wykonywania czynności zwanych sportowemi będzie takim. Tylko zmiana natury ludzkiej mogłaby tu tedy uniemożliwić wogóle istnienie »mo-

mentu sportowego«. Gdy dwie kategorye typów wykonują daną czynność zwaną powszechnie sportową, to jeden wykona ją np. jako alpinizm sportowy (w steinitzerowskiem znaczeniu), drugi odda się alpinizmowi nie sportowemu (»Erholungstätigkeit«) li tylko idąc za swemi skłonnościami, jak naturalnie i koniecznie jabłoń daje jabłka, a grusza gruszki. Pierwszy typ nigdy nie potrafi oddać się alpinizmowi, bez stosowania sprawdzianów sportowych, żeby niewiedzieć jak go do tego zachęcano, drugi bez zachęty tak postępować będzie; w obu wypadkach zatem propaganda jest zbyteczna. Owocną jest wyłącznie dla typów mieszanych, gdzie przeważają skłonności drugiej kategoryi i dla tych osobników typu drugiego, które z zewnętrznych przyczyn naśladują wykonywanie steinitzerowskiego sportu. Jedynie na tym szczupłym obszarze działać może, propagując zaniechanie stosowania sprawdzianów sportowych do czynności zwanych popularnie sportowemi, lub wzmagając odporność przeciw naśladowaniu takiego ich wykonywania.

Także i co do natury i znaczenia motywów alpinizmu ustalonych w polemice nie zgodziłbym się we wszystkiem. Poszczególni krytycy bowiem, wyodrębniali jeden lub dwa, najwyżej trzy stany psychiczne i te uważali za motywy alpinizmu.

Dusza ludzka jest zaś nieskończenie bardziej złożona i ma nieskończenie bogatsze potrzeby, niż zdają się jej przyznawać w swych analizach krytycy motywów alpinizmu. Pragnienie walki, popęd ku zabawie, tęsknota za wyżynami, za pełnią człowieczeństwa. dążenie do stanów ekstatycznych, pragnienie poznania naukowego, estetycznego i religijnego, chęć artystycznego owładnięcia przyrodą i t. p. — tak, każdy taki stan psychiczny może być sam dla siebie wystarczającym motywem alpinizmu. Najczęściej jednak dusza ludzka nie jest tak mało złożona. — Nie dwa lub trzy najwyżej motywy, i to nie odosobnione, na wzór pierwiastków chemicznych, jak to widzą krytycy, lecz dziesięć, wszystkię wyliczone stany psychiczne i wiele innych lub pogranicznych, tak zjednoczone, że jak w związkach chemicznych, ledwie analiza gabinetowa dopiero może je rozróżnić, na pozór zaś są jakby innym, nowym kompleksem psychicznym — tak przedstawiają mi się motywy alpinizmu. Przedewszystkiem jednak zważyć należy, że jako pobudki warunkujące alpinizm, motywy te nie są sobie równorzędne. Na pozór zdawałoby się — na podstawie literatury, dawniejszej zwłaszcza — że motywy poznawcze są najgłówniejsze. Jeżeli jednak uprzytomni się, kiedy wchodzi w grę dążność ku poznaniu przy każdym jednostkowym czy zbiorowym wysiłku, to przekona się, że wtedy dopiero może uświadomić się pragnienie poznania, a co za tem idzie uczucia poznawcze, gdy wszystkie inne stany czynne lub uczuciowe wróciły do zwykłego poziomu napięcia.

Intellektualna kontemplacya Boga i przyrody, przeżywana w górach, jest wytworem najbardziej złożonym i oderwanym. — Psychologicznie biorąc zjawia się najpóźniej u osobników tego typu, u których alpinizm wzbudzony jest różnorodnymi motywami, osobnicy zaś (drugi typ) dla których motywem alpinizmu bywa jeden tylko stan psychiczny—tutaj dążność do poznania — są w rzeczywistości, nie w literaturze, najrzadsi. Znaczenie tego pierwiastku, jako motywu alpinizmu współczesnego (nie biorąc genetycznie) jest przeceniane.

Mniej złożonym motywem alpinizmu prędzej, bo tuż po dokonanym wysiłku uświadamiającym się pierwszemu typowi, a częściej napotykany jako motyw znamienny dla drugiego, są pobudki uczuciowe: radość ekstatyczna ze swobody, zadowolenie z walki, poczucie piękna i t. p.

Trzecim wreszcie motywem najmniej złożonym, jest potrzeba doznawania wrażeń dynamicznych; jest on nieco spokrewniony z tamtą kategoryą, lecz nie chęć przeżywania powtórnie radości ze zwycięstwa n. p. pobudza tutaj do wysiłku alpinistycznego, ale pamięć organiczna samego wysiłku, działa pragnienie powtórnego przeżycia dynamicznej wartości wysiłku. Mam na myśli spotęgowaną

formę instynktu życiowego, przejawiającą się jako dążność do przeżywania stanów czynnych o możliwie wielkiem napięciu, do czynności szczytowych, leżących na granicy możliwości wykonania ich przez daną jednostkę.

Tu jest źródło pierwiastku bohaterskiego w człowieku: wykonanie czegoś co poddane rozwadze wydaje się niemożliwe, lub bardzo trudne do osiągnięcia, czegoś co przytem jest przedewszystkiem groźne dla życia. W tem przezwyciężeniu instynktu samozachowawczego przez czyn — fakt niesłychanie ważny dla kultury, a jako najwyższa wartość koniecznie do życia potrzebny jednostce ludzkiej (w pełnem tego słowa znaczeniu) — tkwi urok nieprzeparty, za którym tęsknota jest najważniejszym motywem alpinizmu, nie analizowanym dotąd, o ile wiem. Alpinizm niesportowy (w steinitzerowskiem znaczeniu), jest w najpełniejszej swej postaci urzeczywistnieniem tego popędu. Inne motywy są najczęściej objawami towarzyszącymi lub wtórnymi.

Jest alpinizm jednak tylko surogatem bohaterskiego czynu. Filogenetycznie bowiem, jest wartość każdego wysiłku bohaterskiego, jako zupełnego zrzeczenia się życia za jakąś wyższą ponad nie korzyść, zawarunkowana wartością celu, dla którego czyn został spełniony. Celem tym mogą być dążenia altruistyczne, nauka, sztuka i t. p. Jest więc alpinizm bohaterstwem bez celu, jest surogatem bohaterstwa raczej.

Mimo to ma jednak dla przeżywającej jednostki wartość bohaterstwa rzeczywistego. Raz, że brak celu uświadamiający się po wykonaniu wysiłku, zastąpiony jest owemi objawami wtórnymi, radością uczuciową i poznawczą n. p.; podczas wykonania zaś, pole uwagi zajęte jest w całości przez świadomość bezpośrednią potrzeby zaspokojenia bohaterskiego napięcia woli, zupełnie tak samo, jak podczas spełnienia rzeczywistego bohaterskiego czynu. Wartość dynamiczna, suma wydatkowanej energii i doznanych wrażeń dynamicznych, jest więc taka sama dla bohaterskiego czynu, jak i dla jego surogatu, alpinizmu.

Ten właśnie charakter motywu alpinizmu, uważałbym za istotną jego cechę dodatnią: tęsknota oryginalnej indywidualności osobnika, szukającego ujścia siłom żywotnym w tworzeniu surogatu bohaterskich przeżyć.

Na okół niego jednak, jako jądro, kłębią się w nierozwikłanym splocie inne motywy, różniące się co do znaczenia stosownie do psychiki jednostki wykonywującej. Kłębią się i żyją a urągają cieplarnianej analizie gabinetowej.

* * *

Czy dowiedzieliśmy się od Steinitzera czegoś nowego o istocie sportu? Nie, lecz spostrzegliśmy na jak niebezpiecznej drodze znajduje się współczesne życie sportowe. Aliści łatwo nie przyszło to czytelnikowi. Mówiono mi, że czytając studyum Steinitzera czuje się, jak za kulisami jakieś kuglarstwo dzieje się, jakaś jakby sztuczka prestidigitatorska, za pomocą której rzecz znana, dobrze w odnośnej szufladce schowana w głowie, przebraną zostaje niespodzianie na inną, wręcz odmienną. Czuje się to, a »artysty« nie można wyłapać. Drażni to czytelnika poczciwego i niedozwala mu hygienicznej lektury. Tak, jest pewna, artystyczna niezaprzeczenie, »tricherie« w argumentacyi autora, którą starałem się odsłonić analizując metodę jego, gdy jak omówienie polemiki okazało, krytyka merytoryczna nie zdołała tego. Polega na błędach metodycznych i na nieodpowiedniej terminologii. Gdy Steinitzer mówi o sporcie, nie mówi o tem, o czem oczekuje się by mówił, bo rozumie on przez to tylko sumę ujemnych objawów sportu (w popul. znaczeniu). Anatema sportu Stenitzera, nie we wszystkiem dotknęła »sportu«, nie dotknęła zaś wogóle tych jego form, którym oddają się zwłaszcza lepsze wśród nas jednostki, a także i na takiej podstawie powinny być ustawiane kryterya oceny tego zjawiska. Potępiła zaś cały kram nizkich instynktów: koszlawych śmiesznostek. Tylko winą metody przeważnie jest, że potępienie słuszne zupełnie tych faktów, zostało wzięte, jako potępienie sportu wogóle. Od

tego zaś autor stał daleko — uznaje całą siłą przekonania wartość dla kultury owych »Erholungstätigkeiten«, które my powszechnie także sportem nazywamy. Ale, że nie mówi o nich i, że inaczej je nazywa, »unde irae« i stąd nieporozumienie. Więc studyum jego niezostało tak przyjęte, jak na to merytoryczną częścią zasługiwało.

Bo nie każdy czytelnik chce walczyć z autorem i krok za krokiem prawdę zdobywać, zwłaszcza gdy ten autor obraża ustalone jego idee, zwłaszcza gdy walczy nieznaną bronią, i krytym sztychem, przemilczeniami i suggestywnemi opuszczeniami. Lecz przemocą wydarłszy mu broń, przekonać się można, że w bardzo oryginalny, podniecający, nadzwyczaj zajmujący, choć nie zawsze lojalny sposób chciał prawdę przedstawić. Bezsprzecznie prawdę. Ale, że chciał zarazem być apostołem reakcyi przeciw wyrodniejącemu życiu sportowemu, ta tendencyjność i zacietrzewienie skrzywiło ją.

Mówiłem o tej prawdzie stosunku sportu do kultury, jak i o ile tendencya nie zdołała jej skrzywić u Steinitzera. Inna rzecz, jaki wogóle był lub dziś jest stosunek sportu do kultury.

Lwów, w czerwcu 1912.

ZYGMUNT CZERNY.

Nowe drogi.

Drąg. Wyjście od zachodu. 28 sierpnia 1911.

Obniżywszy się z Przełęczy ku Drągu na stronę Doliny Złomisk, natrafiamy zaraz na początek charakterystycznego, trawiasto-piarżystego zachodu (por. Taternik, 1910, str. 134) ciągnącego się pod zachodnią ścianę Małej Kończystej. Zachodem tym szedłem kilkadziesiąt kroków łagodnie w dół; znalazłszy się w linii spadku wierzchołka Drąga (tu zachód rozszerza się nieco; an. 2320 m), wziąłem się wprost w lewo na ściany turni, — poczem rodzajem płytkiej, w dobre stopnie połupanej rynny wydostałem się (bardzo łatwo) pod turnię szczytową Drąga, skąd blisko na jego wierzchołek (25 min., an. 2395 m).

Mała Kończysta. Dojście do grani północnej od Przełęczy ku Drągu — z obejściem wszystkich turni wznoszących się między Przełęczą ku Drągu a Małą Kończystą.

Przy sposobności zwiedzenia Drąga i Turni nad Drągiem (28 sierpnia 1911) przekonałem się, że istnieje bardzo łatwy i krótki a zatem wielce praktyczny sposób dojścia do północnej grani Małej Kończystej od Przełęczy ku Drągu, polegający na obejściu Drąga po stronie Doliny Złomisk, Turni nad Drągiem po stronie Batyżowieckiej Doliny i niewielkiej, z czterech igieł złożonej turni (sterczącej w przełęczy dzielącej Turnię nad Drągiem od Małej Kończystej) — po stronie Doliny Złomisk*).

W szczegółach przedstawia się następująco: Z Przełęczy ku Drągu obniżamy się na stronę Doliny Złomisk i dążymy łagodnie w dół trawiasto piarżystym zachodem u stóp zachodnich ścian Drąga aż do ujścia dość szerokiego, piarżystego żlebu, ciągnącego się w dół od przełączki między Drągiem a Turnią nad Drągiem. Żlebem tym wydostajemy się bardzo łatwo na wspomnianą przed chwilą przełączkę (an. 2378 m). Zeszedłszy z niej ciasną rynną ok. 3 m na

*) Sposób ten skraca $1^1/_4$ godz. trwające przejście granią z Przełęczy ku Drągu po przełączkę przed posadem Małej Kończystej — do 25 min. Czyni także zbytecznem posługiwanie się żlebem spadającym z wymienionej przełączki ku zachodowi (por. Taternik 1910, str. 133), nastręczającym średnie trudności i zabierającym zazwyczaj dość wiele czasu [czas $^1/_2$-godzinny podany w Taterniku (l. c.) da się (jak późniejsze przejścia pouczają) tylko z trudnością i przy wielkim pośpiechu osiągnąć].

stronę Doliny Batyżowieckiej, zbaczamy następnie w prawo na trawiasto-skaliste wschodnie zbocza Turni nad Drągiem i zachodząc łukiem, łagodnie w górę, stajemy na siodle (an. 2405 m) między Turnią nad Drągiem a sterczącą w przełęczy pod Małą Kończystą czterozębną turnicą. Tę ostatnią obchodzimy po stronie Doliny Złomisk i stajemy na przełączce przed posadem Małej Kończystej, skąd na jej wierzchołek jak w Taterniku 1910 str. 133.

Dla objaśnienia ob. ilustracyę w Taterniku 1910 str. 49.

R. Kordys.

Spąga. I. wyjście od Czerwonej Ławki. Podpisani 19. sierpnia 1910.

Z północnego siodła Czerwonej Ławki dostajemy się na południowe, (bezpośrednio pod urwiskiem Spągi położone) siodło przełęczy, obchodząc sterczącą w pośrodku turniczkę po stronie Doliny Staroleśnej. Od miejsca tego biegnie lekko w górę podnoszący się, nazewnątrz nachylony, piarżysto-trawiasty zachód, który uchodzi na siodełko w bocznem żebrze, wyodrębniającem się z posadu turni ku Dol. Staroleśnej, a stanowiącem lewą (orogr.) grzędę żlebu wiodącego na Czerwoną Ławkę od Strzeleckich Pól. Przejście zachodu — zwłaszcza jego kilkunastu pierwszych metrów — jest wielce niemiłe i wymaga uwagi; w dalszej części trawiasta półka staje się wyrazistsza i doprowadza do wspomnianego siodełka w żebrze (kopczyk). Z siodła w górę (w lewo) pod bardzo spadzistą, litą ścianę turni. Przez niewysoką przewieszkę, którą załamuje się ściana, na strome płyty; niemi skośnie w prawo aż do wązkiej rynny, żłobiącej ścianę turni w kierunku pionowym, a urywającej się poniżej gładkiemi skałami. Jednym krokiem na przeciwną stronę rynny (świetny stopień) i w górę; po kilku metrach wchodzimy znowu w dno rynny, zmieniającej się teraz w prostopadły komin. Nim w górę, częściowo zapieraniem, na pochyłe rumowisko ścielące się pod granią turni. Dobiwszy do grani (kilka metrów powyżej jej uskoku ku Czerwonej Ławce), zwracamy się w prawo i przez złomy osiągamy zaraz wierzchołek Spągi (od przełęczy 1 g).

Droga powyżej opisana stanowi najwłaściwsze rozwiązanie kwestyi wyjścia na Spągę od Czerwonej Ławki, samo bowiem urwisko turni jest prawdopodobnie niemożliwe do wzięcia w górę. Przejście w pierwszej części wysoce niesympatyczne, w drugiej interesujące — ma znaczenie przedewszystkiem w ramach graniówki. Trudności niezbyt wielkie.

Kazimierz Piotrowski. Mieczysław Świerz.

Sprawy Sekcyi.

Protokół z X. Zwyczajnego Ogólnego Zgromadzenia Członków Sekcyi Turystycznej T. T., odbytego w Zakopanem dnia 11. sierpnia 1912, w sali Dworca Tatrzańskiego.

Posiedzenie ranne.

Obecnych członków 32. Przewodniczący Sekcyi, prof. M. Smoluchowski, zagaił posiedzenie o godzinie 10·15 przedpołudniem, witając licznie zebranych członków.

Na wniosek dr. Żuławskiego zwolniono sekretarza od odczytania protokołu z ostatniego Zwyczajnego Ogólnego Zgromadzenia, gdyż ów drukowany był w 3-cim numerze „Taternika“ z r. 1911, oraz od przedłożenia sprawozdania z działalności Zarządu za r. 1911, które ukazało się drukiem w Pamiętniku T. T. za r. 1911. W uzupełnieniu tegoż sprawozdania p. Świerz przedstawił czynności Zarządu za pierwsze półrocze 1912. — Z prac Zarządu należy wyszczególnić: Wyrównanie opóźnienia, jakiemu uległo wydawnictwo organu Sekcyi, wydanie wytwornego prospektu pism M. Karłowicza w 4000 egzemplarzy, urządzenie instrukcyjnej wycieczki na płd. grań Kościelca, zorganizowanie w Zakopanem dwu odczytów o taternictwie, zakupno aparatu projekcyjnego i powiększenie zbioru przeźroczy tatrzańskich.

W zastępstwie Komisyi Kontrolującej Dr. W. Zakrzewski postawił wniosek o udzielenie ustępującemu Zarządowi absolutoryum, oświadczając, iż księgi kasowe Sekcyi znalazł w zupełnym porządku. Po

odczytaniu, na żądanie p. Znamięckiego, sprawozdania kasowego za r. 1911, wywiązała się dłuższa dyskusya. P. Znamięcki domagał się, by przed każdem Ogólnem Zgromadzeniem doręczano członkom drukowane półroczne sprawozdania kasowe, i aby w przyszłości w tychże sprawozdaniach wyszczególniano ściślej poszczególne pozycye, a zwłaszcza pozycyę „Taternika". W dyskusyi, w której zabierali głos pp.: Porębski, Czerwiński, Kulczyński i Komornicki, oświadczono się przeciw półrocznym zamknięciom kasowym, których dokładniejsze zestawienie przedstawiałoby znaczne trudności, uchwalono natomiast prowadzić osobno pozycyę: „Taternik".

P. Zaruski, nawiązując do sprawozdania Zarządu, zarzucił mu, iż nie spełnił pokładanych nadziei, gdyż nie starał się zająć organizacyą popularnej turystyki i nie prowadził szerokich mas w góry W odpowiedzi, prof. Smoluchowski oświadczył się przeciw pojmowaniu turystyki wysokogórskiej jako sportu gromadnie uprawianego, taternictwo bowiem nie nadaje się do zbiorowego wykonywania. Nie można forsować w turystyce kierunku popularnego. Towarzystwa alpejskie, nie zajmują się organizowaniem zbiorowych wycieczek, lecz uczą zasad turystycznych przez wprowadzanie w góry jednostek. W podobny sposób spełnia Sekcya Turystyczna swe zadania. Dr. Żuławski wykazał w jaki sposób Sekcya ułatwia swym członkom urządzanie wycieczek. — Następnie zarzucił pp. Zaruskiemu i Znamięckiemu nielojalność względem Sekcyi Turystycznej z powodu ogłoszenia przez nich pogadanki i wycieczki zbiorowej pod firmą Towarzystwa Tatrzańskiego, bez porozumienia się z Zarządem Sekcyi. — P. Znamięcki uznając potrzebę społecznej działalności Sekcyi, domagał się, by Sekcya albo przemieniła się w ściśle sportowy klub, albo też zajęła się popularyzacyą turystyki. P. Porębski zbijał zarzuty, jakoby Sekcya nie rozwijała się, stwierdził stały i dodatni postęp w czynnościach Zarządu i podkreślił właściwość wprowadzania w góry nowych sił taternickich w sposób, praktykowany dotychczas przez Sekcyę.

Dr. Komornicki udowadniał, iż dzisiejszego rozkwitu taternictwa nie można wyobrazić sobie bez istnienia Sekcyi. — Pan Osiecki domagał się, by Sekcya zdeklarowała się na obecnem Ogólnem Zgromadzeniu, czy jest klubem zamkniętym i ściśle sportowym, czy zatem zrzeka się obowiązków społecznych. W odpowiedzi, przewodniczący, prof. M. Smoluchowski, stwierdził, że Sekcya już od kilku lat jest klubem zamkniętym, w tym kierunku zatem Zgromadzenie nie potrzebuje przedsiębrać jakichkolwiek uchwał, od pracy zaś społecznej nie usuwa się, lecz podejmuje ją częściowo we własnym zakresie, częściowo wspomagając Tow. Tatrzańskie. — W dyskusyi zabierali jeszcze głos pp.: Zaruski, Zakrzewski, Czerwiński, Dr. Piasecki, Goetel, Komornicki, Dworzaczek i Żuławski, poczem udzielono jednogłośnie ustępującemu Zarządowi absolutoryum.

Uchwalono preliminarz budżetu na rok 1912, — przedstawiony imieniem Zarządu przez skarbnika p Kulczyńskiego, a określony w dochodach na 1063 koron 89 hal., w rozchodach zaś na 1050 koron.

Następnie przedstawił Przewodniczący listę proponowanego nowego Zarządu. Prezydyum wybrano przez aklamacyę, członków Zarządu przez głosowanie kartkami, w składzie następującym:

Inż. J a n C z e r w i ń s k i przewodniczący; Dr. S t e f a n K o m o r n i c k i zastępca przewodniczącego; J ó z e f G r a b o w s k i, T e o f i l J a n i k o w s k i, Dr. Z y g m u n t K l e m e n s i e w i c z, W ł a d y s ł a w K u l c z y ń s k i jun., S t a n i s ł a w P o r ę b s k i, Dr. J e r z y Ż u ł a w s k i, M i e c z y s ł a w Ś w i e r z, członkowie zarządu.

Do Komisyi Kontrolującej weszli pp.: Inż. J a n u s z C h m i e l o w s k i, Dr. R o m a n K o r d y s i Dr. W a c ł a w Z a k r z e w s k i.

Po wyborach kierownictwo obrad objął p. Czerwiński i podziękowawszy za wybór, udzielił głosu pni W. Jankowskiej, która przedstawiła sprawozdanie komitetu budowy schroniska im. Karłowicza. Sprawozdanie z prac poczynionych około budowy schroniska zdał p. Czerwiński. — Ostatnie Ogólne Zgromadzenie upełnomocniło subkomitet do poczynienia kroków — celem przystąpienia do budowy schroniska przy Pięciu Stawach Polskich. — Zarząd jednak, rozważając dalej tę sprawę, doszedł do przekonania, że najlepszem rozwiązaniem kwestyi byłaby budowa schroniska przy Czarnym Stawie Gąsienicowym wspólnie z Tow. Tatrzańskiem. — Po porozumieniu się z Wydziałem Tow. Tatrzańskiego, który propozycyę przyjął przychylnie — Zarząd Sekcyi przedstawia Ogólnemu Zgromadzeniu do zatwierdzenia następujący wniosek:

„W myśl uchwały X. Ogólnego Zgromadzenia, Sekcya Turystyczna przystępuje z udziałem do budowy schroniska przy Czarnym Stawie Gąsienicowym wspólnie z Tow. Tatrzańskiem, na następujących warunkach: a) Sekcya Turystyczna posiadać będzie odpowiedni wpływ na budowę i zarząd schroniska; b) Schronisko nazwane zostanie imieniem M. Karłowicza.

W dyskusyi nad powyższym wnioskiem Zarządu, p. Korniłowicz zgłosił następujący wniosek:

„Strona architektoniczna schroniska powinna otrzymać sankcyę kompetentnych czynników artystycznych". — Oba wnioski uchwalono.

Na porządku dziennym znajdowały się jeszcze dwa punkty: a) zmiana statutu; b) wnioski i interpelacye. — Z powodu

spoźnionej pory uchwalono dyskusyę nad nowym statutem odroczyć do zebrania wieczornego, przystąpiono zatem odrazu do ostatniego punktu porządku dziennego.

Imieniem Zarządu przedstawił przewodniczący następujące wnioski:

1. Ogólne Zgromadzenie z żalem przyjmuje wiadomość o ustąpieniu prof. dra Maryana Smoluchowskiego z godności przewodniczącego Sekcyi, wyraża Mu za niestrudzoną pracę na tem stanowisku najżywsze uznanie i podziękowanie.

2. Ze względu na przypadające w roku 1913 dziesięciolecie Sekcyi Turystycznej, Ogólne Zgromadzenie upoważnia Zarząd do poczynienia odpowiednich kroków, celem uczczenia tej rocznicy.

3. Ogólne Zgromadzenie wyraża przekonanie, że wszyscy członkowie Sekcyi Turystycznej uważają się za moralnie zobowiązanych do chronienia Tatr od wszystkich wpływów zewnętrznych, niszczących ich charakter pierwotny, wita z radością powstanie siostrzanej Sekcyi Ochrony Tatr i zachęca gorąco członków do przystępowania do niej.

Po jednogłośnem przyjęciu powyższych wniosków, przewodniczący zamknął posiedzenie o godzinie 2·45 popołudniu, odraczając je do godziny 7-mej wieczorem.

Posiedzenie wieczorne.

Obecnych członków 22. Przewodniczący J. Czerwiński otworzył posiedzenie o godzinie 7-mej wieczór, poczem przystąpiono do szczegółowej dyskusyi nad projektem nowego statutu Sekcyi Turystycznej, opracowanym z polecenia Zarządu przez dra R. Kordysa. — Projekt przyjęto w brzmieniu proponowanem przez Zarząd, po poczynieniu pewnych zmian i poprawek. Statut wejdzie w życie z chwilą przyjęcia go przez Walne Zgromadzenie członków Tow. Tatrzańskiego w r. 1913 i po zatwierdzeniu przez c. k. Namiestnictwo we Lwowie

Następnie przeprowadzono dyskusyę nad pisemnie zgłoszonym wnioskiem inż. K. Drewnowskiego, domagającym się, by Ogólne Zgromadzenie oświadczyło, iż ruch wszczęty przeciw kolejce pod Świnicę jest ze stanowiska turystycznego nieuzasadniony. — Nad wnioskiem tym Zgromadzenie przeszło (na wniosek Dra Zakrzewskiego) do porządku dziennego, prawie jednogłośnie natomiast uchwaliło następujący — większością za nagły uznany — wniosek p. Korniłowicza:

„Zważywszy, że projektowana przez p. inżyn. W. Dzieślewskiego kolejka pod Świnicę, oraz związane z jej budową urządzenie kamieniołomu w wysokim stopniu zmieniłyby charakter jednej z najpiękniejszych okolic Tatr Polskich, sama zaś kolejka z punktu widzenia turystycznego przedstawia małą wartość — Ogólne Zgromadzenie stanowczo protestuje przeciw powyższemu projektowi“.

W końcu, na wniosek p. J. Borkowskiego, kwalifikowaną większością $^2/_3$ głosów uchwalono podwyższenie rocznej wkładki na ośm (8) koron.

Koniec Zgromadzenia o godzinie 9·30 wieczorem.

Mieczysław Świerz, sekretarz. *Jan Czerwiński*, przewodniczący.

Zarząd Sekcyi Turystycznej, na posiedzeniach odbytych w Zakopanem dnia 12. i 25. sierpnia b. r., ukonstytuował się w następujący sposób: sekretarz M. Świerz, zast. sekretarza St. Porębski, skarbnik Wł. Kulczyński jun., zast. skarbnika T. Janikowski, bibliotekarz J. Grabowski, zast. bibliotekarza Dr. Jerzy Żuławski.

Redaktorem „Taternika“ wybrano Dra Z. Klemensiewicza, który przyjął ten urząd do końca bieżącego roku kalendarzowego, zgłaszając z powodu zajęć zawodowych rezygnacyę po tym terminie.

Na tychże posiedzeniach wydelegowano: do komisyi redakcyjnej i naukowej przy wydziale Tow. Tatrz.: pp. J. Grabowskiego, Dra St. Komornickiego i M. Świerza; do komisyi dla robót w Tatrach pp.: J. Grabowskiego, W. Kulczyńskiego i M. Świerza; do komisyi dla spraw przewodnickich, pp.: Dra Z. Klemensiewicza i Dra J. Żuławskiego.

Delegatem Sekcyi do konferencyj międzysekcyjnych mianowano Dra J. Żuławskiego, zastępcą Dra St. Komornickiego; delegatem do Wydziału Tow. Tatrzańskiego w myśl nowego statutu obrano p. M. Świerza. — Na wniosek Dra Żuławskiego powołano do życia Komisyę wycieczkową, mającą zająć się urządzaniem zbiorowych wycieczek tatrzańskich dla szerszego ogółu.

Komisya rządzić się będzie osobnym regulaminem i posiada prawo kooptacyi.

Nowi członkowie Sekcyi Turystycznej. Zarząd Sekcyi przyjął na członków Sekcyi: pp. Leokadyę Czerwińską z Krakowa, Jana Knoreck'a z Krakowa, Rafała Malczewskiego z Wiednia, Tadeusza Prażmowskiego z Krakowa, Witołda Świerza z Krakowa i Kazimierza Przerwę-Tetmajera z Krakowa.

Z sezonu.

Od szeregu lat polski ruch tasternicki nie był tak mało ożywiony, jak w ostatnim sezonie. Przyczyniła się do tego przedewszystkiem fatalna, niepamiętna od dawnych lat niepogoda; zwłaszcza we wrześniu panowała bezustanna słota, a głębokie śniegi uniemożliwiły wszelkie wycieczki. Ponieważ poważniejsze wyprawy trafiały się tylko sporadycznie, niepodobne uchwycić jakichś szczególnie charakterystycznych cech ubiegłego sezonu.

Żywszy ruch turystyczny panował po stronie węgierskiej; uwidoczniła się tutaj jednak gorączkowa pogoń za resztkami problemów tatrzańskich, z których znaczna część nie posiada większego znaczenia. Jako najwybitniejsze wyprawy sezonu wymienić należy pierwsze przejścia ścian: południowych Batyżowieckiego Szczytu i Małego Lodowego oraz północnej Małego Kiezmarskiego.

Do zanotowania mamy następujące nowe drogi:

29. VI. Znaleźli I. Barcza, L. Teschler i O. Zuber nową drogę na Szczyt Litworowy (północno-zachodnią granią).

Następnego dnia wyszli J. Dobrovics i I. Kátay na Kończystą nową drogą od wschodu.

1. VII. przeszli Dr. Gy. Komarnicki, Dr. R. Komarnicki i Z. Votisky południową ścianę Batyżowieckiego Szczytu.

8. VII. zeszedł Dr. Gy. Komarnicki nową drogą z Małej Kończystej ku południowemu zachodowi.

6. VIII. W. Kulczyński i M. Świerz wydostają się na Czarnostawiańską Przełęcz z kotliny Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem;

7. VIII. wychodzą Gy. Hefty i Dr. Gy. Komarnicki na Jastrzębią Turnię ścianą południowo-wschodnią.

Tegoż dnia wyszli H. Bednarski i St. Mierczyński na Żabią Przełęcz Wyżnią od północy. Drogę tę powtórzyli w kilka godzin później Dr. A. Kroebl, W. Kulczyński i M. Świerz.

18. VIII. Dr. M. Beynarowicz, J. Lesiecki i Cz. Piasecki przeszli północną ścianę Kozich Czubów.

Tegoż dnia wyszli Gy. Hefty i Dr. Gy. Komarnicki na Mały Kiezmarski Szczyt ścianą północną.

20. VIII. wydostał się Dr. Gy. Komarnicki sam na Mały Durny grzędą spadającą ku Zielonemu Stawowi (częściowo nowa droga).

31. VIII. W. Kulczyński, K. Piotrowski, J. Rotwand i M. Świerz, przechodzą południową ścianę Małego Lodowego.

Tegoż dnia wychodzi J. Czerwiński z Wojciechem Tylką na Mięguszowiecki Szczyt nad Czarnym północno-wschodnią ścianą.

Prócz tego dokonano kilku nowych przejść, których daty nie są nam znane:

Dr. Gy. i Dr. R. Komarniccy zwiedzili grzędę południowo-zachodnią Żółtego Szczytu, tudzież północną ścianę Koprowego.

Dr. Gy. Komarnicki wyszedł na Niżnie Rysy grzędą od wschodu.

A. Grósz, Gy. Hefty i L. Rokfalusy wydostali się w czerwcu południowo-wschodnią ścianą na turnię zwornikową na północ od Kołowego Szczytu (po niem. Blauerseeturm).

A. Grósz i I. Laufer wyszli na Szczyt Kiezmarski ścianą południową.

A. Grósz, T. Kregczy i L. Rokfalusy wydostali się na Mały Kiezmarski Szczyt północno-zachodnią krawędzią.

Notatki.

Wiec publiczny w sprawie ochrony Tatr, zwołany przez Zarząd Sekcyi Ochrony Tatr, odbył się w Zakopanem, dnia 10. sierpnia b. r. przy nader licznym udziale publiczności. Referaty wygłosili: Prof. J. Gw. Pawlikowski, A. Lityński i T. Korniłowicz. — Po dyskusyi, w której zabierali głos: pp. Z. Weyberg, Dr. Z. Kramsztyk, H. Dłuska, Prof. E. Romer, Dr. S. Kopczyński i J. Uznański, uchwalono jednogł. trzy rezolucye, a to rezolucyę stwierdzającą konieczność rozwinięcia szerokiej działalności, celem ochrony pierwotnego krajobrazu tatrzańskiego, rezolucyę domagającą się opieki nad przyrodą Tatr w drodze ustawodawczej, oraz rezolucyę protestującą przeciw projektowanej kolejce pod Świnicę. Oprócz tego uchwalono wniosek, wzywający Tow. Tatrzańskie do obmyślenia sposobów urzeczywistnienia idei Parku Narodowego w Tatrach.

Nowe schroniska w Tatrach. Z początkiem lipca b. r. otwarto dla użytku turystów nowe schronisko Tow. Tatrzańskiego na polanie w Roztoce. Schronisko to, zbudowane całkowicie z materyału drzewnego, w stylu skromnej willi zakopiańskiej, zawiera 5 pokoi z 15 łóżkami, kuchnię, sień i komorę i przedstawia się bardzo korzystnie.

W Dolinie Koprowej, 5 minut drogi poniżej początku ścieżki odgałęziającej się do Doliny Niewcyrki, oddano na usługi turystów nową leśniczówkę, zawierającą dwie izby, zaopatrzone w piece i urządzenie wewnętrzne. Schronisko to leży w odległości około 100 kroków od ścieżki, na prawo od tejże (idąc od Podbańskiej), odnaleźć je łatwo nawet w nocy po dużym kopczyku kamiennym, z zatkniętą żerdką, usypanym koło ścieżki.

Odczyty. Zarząd Sekcyi Turystycznej urządził w Zakopanem podczas sezonu ubiegłego dwa odczyty. Dnia 30. lipca wygłosił p. M. Świerz odczyt o urządzaniu wycieczek tatrzańskich, w dniu 31-go lipca mówił dr. J. Żuławski o niebezpieczeństwach Tatr. Odczyty, które ściągnęły licznych słuchaczy, przyjęto w prasie i wśród publiczności z uznaniem.

Dziesięcioletnią rocznicę rozstrzygnięcia sporu o Morskie Oko obchodziło Towarzystwo Tatrzańskie wiecem publicznym, odbytym przy Morskiem Oku w dniu 15. września b. r. Podczas uroczystości, która zgromadziła blisko 100 osób, wygłoszono szereg mów; w imieniu Sekcyi Turystycznej przemawiał p. F. Goetel.

Wiec Członków Tow. Tatrz. obradował w Zakopanem d. 17. sierpnia. Uchwalono utworzenie przy T. T. „Sekcyi Przyjaciół Zakopanego“.

Ścieżka na Szczyt Jagnięcy od Zielonego Stawu została już w całości wykonana. Z Przełęczy Kołowej (patrz Tat. 1911 Nr. 3 str. 56) wiedzie ona na szczyt przeważnie po zachodniej stronie grani. W ten sposób Jagnięcy jest obecnie tak dostępny jak np. Mała Wysoka a zasługuje na odwiedziny dla pięknego widoku.

Z piśmiennictwa.

Zakopane. Krótki przewodnik po Zakopanem i okolicy. 1911. Cena 1 kor. Celem broszury, wydanej nakładem Krajowego Związku Turystycznego, jest podanie szerokiej publiczności najważniejszych wiadomości o Tatrach i Zakopanem, poinformowanie o tutejszych hotelach, pensjonatach, szkołach, towarzystwach, oraz najłatwiejszych wycieczkach w góry. Rzecz to opracowana słabo i pobieżnie, w układzie rozdziałów i informacyi panuje przytem okropny chaos. I tak np. w I. rozdziale, w „ogólnych wskazówkach“ napotykamy szczegółowy wykaz hoteli, sklepów, restauracyi, zakładów fotograficznych etc., w rozdziale drugim następują uwagi o położeniu, klimacie Zakopanego. Szczytem tej chaotyczności są rozdziały IX. i X. Rozdział IX. zawiera spis altan i schronisk T. T., przewodników po Tatrach, a po nim jako rozdz. X. następuje: Dolina Chochołowska, Pieniny. Pogląd na Tatry i wykaz „najbardziej uczęszczanych dolin i szczytów tatrzańskich“ podał M. Zaruski. Nie na wszystko można się tutaj zgodzić, jak np. na zdanie, że wieczne śniegi w Tatrach „to właściwie resztki lawin wiosennych“; „nie ulega wątpliwości, że podlegają one prawom ogólnym ruchu lodowców alpejskich“ (str. 65). Z błędów wymienić należy, iż głębokość Czarnego Stawu nad Morskiem Okiem wynosi 84 m., a nie 87 (por. Pamiętnik T. T. 1910 str. 47); na przejście Ścieżki nad Reglami zużyć trzeba ok. 3 g., a nie $1\frac{1}{2}$ do 2 g. itd. Co znaczą takie wyrażenia: „Orla Perć — jedyna w Tatrach ścieżka, w całej rozciągłości należąca do trudniejszych“ (str. 72) lub „droga nietrudna, wymagająca jednak wielkiej sprawności turystycznej“ (str. 77)? — Książeczkę ilustruje kilkanaście niezłych, lecz niecałkiem odpowiednio dobranych zdjęć. Dodana na końcu barwna mapka Zakopanego pełna jest błędów zarówno w nazwach ludowych jak i wykreśleniu i oznaczeniu ulic. Naogół zatem broszura, jakkolwiek może oddać pewne usługi, nie posiada znaczniejszej wartości i ustępuje pod tym względem innym broszurom o Zakopanem np. książeczce wydanej w bibliotece Arcta, niemówiąc już o dawnym „Kalendarzyku Zakopiańskim“. Książkę wydano równocześnie w przekładzie niemieckim. *m.*

Jahrbuch des Ungarischen Karpathenvereines. XXXIX. Jahrgang 1912. Rocznik rozpoczyna artykuł Dra Gy. Komarnickiego, poświęcony przejściu granią ze Sławkowskiego Szczytu poprzez Nowoleśne i Warzęchowe Turnie na Staroleśną, której to wycieczki opis ogłoszony był w naszem piśmie, w dziale „Nowe drogi“ (r. 1911, str. 38). Rzecz napisana jest z właściwą autorowi lekkością i płynnością stylu i znakomitem uchwyceniem

taternickiej strony wyprawy, ale — równocześnie — i z właściwą dzisiejszym taternikom powściągliwością w kreśleniu trudów i niebezpieczeństw, połączonych z wykonaniem wycieczki. Odbija się to ujemnie na plastyce, z jaką dzieje wycieczki przedstawiają się czytelnikowi. Tem bardziej, że wiele miejsc artykułu stanowczo grzeszy rozwlekłością. — W uwagach uzasadniona jest obszernie nowa niemiecka nomenklatura turni w wymienionej grani tkwiących, ogłoszona przez autora po raz pierwszy w naszem piśmie (j. w.), Profil grani objaśnia dobry rysunek na str. 26.

O „zimowych wycieczkach tatrzańskich" pisze Dr. J. Serényi, podając w trzech szkicach przebieg trzech dzielnych wypraw zimowych: na Staroleśną (1907), Litworowy i Wielicki Szczyt (1909) i pierwszego wyjścia w zimie na Durny (1910). Pisane z sympatyczną szczerością i godnym szacunku zapałem — dają dobry obraz ciężkiej walki z zimą górską i jej groźnemi niebezpieczeństwami.

Emeryk Barcza poświęca swój tegoroczny artykuł Batyżowieckiej Grani. Kto nie zapoznał się jeszcze ze sposobem pisania p. Barczy, temu niech posłuży za próbkę następujący, w dosłownem tłumaczeniu przytoczony wyjątek (str. 73.):

„Wszystko weseli się, wszystko jest harmonijne, powietrze i woń jodeł obejmują się. Cóż dziwnego, że droga ze Śląskiego domu do Stawu Batyżowieckiego wydaje mi się nieskończenie długą. Brak schroniska przy tem dzikiem, romantycznem jeziorze usposabia mnie markotno. Gdy jednak grań spostrzegam, błyszczą moje oczy i tak, jakby życzenia moje były już spełnione, chowam worek i czekan spiesznie i szczęśliwie w pobliżu jeziora, między skałami". Logika zaiste zdumiewająca!

Ozdobą prawdziwą Rocznika i bez wątpienia jednym z najcenniejszych okazów nowoczesnej literatury taternickiej jest Teobalda Kregczy'ego opis drugiego przejścia północnej ściany Ganku. Opis niezmiernie żywy i plastyczny, jakkolwiek prostemi słowy pisany i sztucznych upiększeń unikający. Dowodzi on, że w autorze mamy nietylko znakomitego wspinacza, który potrafił utorować sobie drogę — w deszczu i przy mokrych skałach, wykluczających użycie trzewiczków—poprzez najzuchwalszą ze ścian tatrzańskich, ale równocześnie i człowieka o umyśle wcale nie przeciętnym. Sympatycznie uderza nietajony szacunek dla przebytej ściany i pełne respektu wyrazy uznania dla jej pierwszych zdobywców.

W „drobnych notatkach" znajdujemy Dra Serényi'ego zestawienie nowych dróg i wycieczek zimowych z r. 1911. Od zestawień i wiadomości w naszem piśmie podanych bogatsze jest ono wzmiankami o wyjściu na dwie bez znaczenia turnie w grani między Przełęczą Batyżowiecką a północnym szczytem Garłucha, z których jedną zwiedził G. Crosfield z P. Spitzkopfem, a drugą K. Hevesi i L. Brumiller (20. VII. 1911), — oraz o przejściu zimowem przełęczy między Małą Wysoką a Baniastą Turnią przez dra Jablonszky'ego i towarzysza z J. Breuer'em (15. IV. 1911). Jest wreszcie także zestawienie wypadków tatrzańskich z r. 1911.

Na tem kończą się tyczące się Tatr ustępy rocznika. Wspomnieć jeszcze należy o obszernym artykule Aleksandra Mervay'a, poświęconym przejściu w zimie wąwozów w przedgórzach spiskich i o „zimowej wycieczce w Beskidy" pióra Emmy Löwy, kreślącej wspomnienia z niewinnej wycieczki narciarskiej w Zachodnich Beskidach.

Reszta prac zamieszczonych w Roczniku przeważnie naukowej treści — usuwa się z pod omówienia w Taterniku.

Dodaną jest bardzo dobra reprodukcya pięknego zdjęcia E. Maurer'a pt. „Grań Baszt". Natomiast obrazki w tekście są niemal bez wyjątku niżej krytyki.

—rk.

DRUKARNIA W. A. SZYJKOWSKIEGO